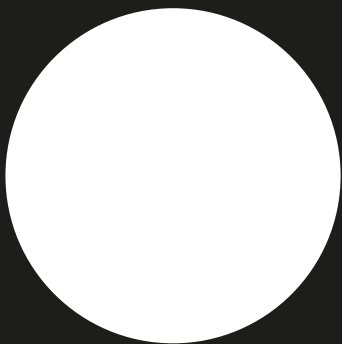


ballada jednej nocy



MATEUSZ CIEŚLIK

ballada jednej nocy

must read



Copyright © 2025 by Mateusz Cieślak
Copyright © 2025 for this edition
by Media Rodzina Sp. z o.o.

Projekt okładki Andrzej Komendziński
Skład i łamanie Radosław Stępniaik | **SISLY** studio.com

Zdjęcie na skrzydełku okładki – z archiwum Autora

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki – z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych – możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci – żyjących obecnie lub w przeszłości – oraz do rzeczywistych zdarzeń i miejsc jest czysto przypadkowe.

ISBN 978-83-8265-946-7
2025.1

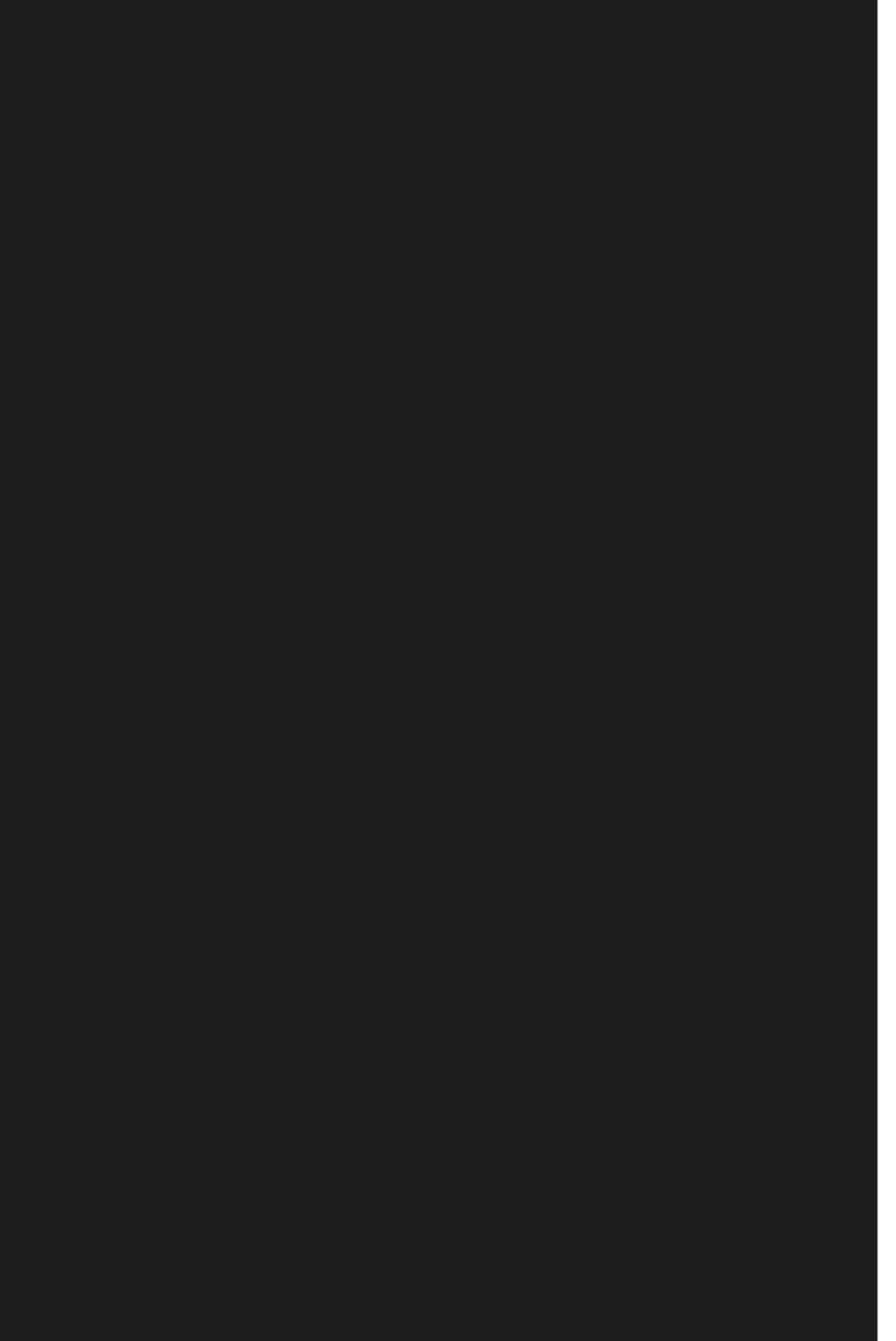
Must Read jest imprintem wydawnictwa
Media Rodzina Sp. z o.o.
ul. Pasieka 24, 61-657 Poznań
tel. 61 827 08 50
wydawnictwo@mediarodzina.pl

Druk Abedik

Media Rodzina popiera ścisłą ochronę praw autorskich. Prawo autorskie pobudza różnorodność, napędza kreatywność, promuje wolność słowa, przyczynia się do tworzenia żywej kultury. Dziękujemy, że przestrzegasz praw autorskich, nabywasz książki legalnie i nie udostępniasz ich publicznie, np. w Internecie. Dziękujemy za to, że w ten sposób wspierasz autorów i pozwalasz wydawcom nadal publikować ich książki.

*Jeśli się
w życiu zgubiliście,
spróbujcie znaleźć drogę
powrotną, a jeżeli nie
możecie jej odszukać –*

poproście o pomoc.





23:20

Fitapp

Tak wyglądają twoje dzisiejsze postępy
Brakuje ci tylko 6000 kroków do osiągnięcia
dziennego limitu aktywności fizycznej.

Twój cel aktywności został prawie osiągnięty. Nie poddawaj się!
W zdrowym ciele zdrowy duch! Masz to na wyciągnięcie ręki.

Twój tygodniowy wynik to: 2100 kcal.
Twój organizm ci za to podziękuje!

Na wszystko w życiu przychodzi pora.

Przyszła i na mnie.

Zjechałem z drogi s1 i skierowałem się za miasto
w stronę miejsca, które wypatrzyłem na Google Maps.
W pewien sposób od razu na mnie podziałało. Uznałem,
że będzie idealne, aby się pożegnać.

Reflektory mojego peugeota rozświetlały nocną mgiełkę.
Z głośników dobiegał anielski głos Eda Sheerana: „My

bad habits lead to late nights, endin' alone". Jakże te słowa obecnie pasowały do mojej sytuacji.

Dochodziła dwudziesta trzecia dwadzieścia, może trzydzieści. Nie wiedziałem dokładnie, bo cholerny zegar w samochodzie zawsze wskazywał błędną godzinę, jakby mi robił na złość. Pora idealna. Wyglądało to tak, jakby cały świat kładł się spać, a ja stałem się niewidzialny.

Z klimatyzacji dochodził nieprzyjemny zapach. Już dawno miałem oddać auto do mechanika, ale planowanie a realizacja planów to dwie różne sprawy. Wiedzą o tym doskonale kobiety, które chcą zajść w ciążę, i narkomani, którzy chcą skończyć z nałogiem. Grunt to chcieć, a chcieć to móc.

Czy jakoś tak.

Na skrzyżowaniu Legionów i Mickiewicza minąłem niewielki warsztat samochodowy. Auto Serwis Budzyński. Kojarzyłem właściciela, bo matka czasami z nim sypiała. Może dostałbym jakiś rabat z tej okazji?

Ludziom się wydaje, że odebranie sobie życia jest zawsze okraszone ogromną histerią i człowiek ze łzami w oczach decyduje się na ten krok. Społeczeństwo jak zwykle nie ma racji i jak zwykle zawodzi. Nie ma chyba wielu mądrych decyzji podjętych na rzecz tak zwanego wspólnego dobra. Myślę, że to jedno z tych określeń, które każdy powtarza tylko po to, żeby osiągnąć jakieś osobiste korzyści.

U mnie decyzja o zakończeniu doczesności była dokładnie przemyślana i nosiłem się z tym zamiarem od dobrych kilku miesięcy. Nie byłem zrozpaczony, w ostatnim czasie nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego, co skłoniłoby mnie do takiego działania. Życie miałem gówniane, to fakt, ale tak po prawdzie, to kto nie miał? A jednak nie wszyscy decydują się na ten krok.

Zrobiłem sobie bilans zysków i strat. Banalna sprawa. Ile wyciągam ze wszystkiego szczęścia, a ile nie. Genialne wyliczenia na każdą kieszeń. Można by stworzyć do tego arkusz kalkulacyjny i sprzedawać z najnowszą wersją pakietu Office. Każdy mógłby sam podjąć decyzję i przekonać się, czy aby na pewno jego życie ma sens.

Mnie wyszło, że w sumie niewiele czerpię z tego życia radości, więc nie było sensu dłużej się nad tym rozwodzić. Lata temu dopadła mnie jakaś taka apatia, więc nawet nie za bardzo pamiętałem, co to właściwie jest szczęście. W ogóle ludzie często mi mówili, że jestem wyprany z emocji i czasami przypominam robota.

Wielkie dzięki, WALL-E, kłaniam się nisko.

Godzinę po podjęciu ostatecznej decyzji byłem już w Castoramie i zakupiłem dziesięciometrową linię, mając nadzieję, że wystarczy. Przy wtórce charczenia ze sklepowego głośnika (wzywano panią Jagodę na kasę) przyglądałem się półce z akumulatorami samochodowymi.

Miałem wymienić, bo mój już nie domagał, ale jakie to teraz miało znaczenie?

Dziwnie się człowiek czuje, zastanawiając się, które produkty powinien kupić, żeby jak najszybciej ze sobą skończyć. I bezboleśnie przy okazji. Na tyle chyba można sobie pozwolić w takiej sytuacji. Taka odrobina luksusu.

– Chyba się pan nie będzie wieształ? – zagadnęła półgębkiem kasjerka.

– Chyba nie, droga pani – odparłem i mruknąłem, że to dla siostry na huśtawkę.

Pani Jagoda – jak się domyślałem, bo sapała, jakby dopiero zajęła miejsce po drugiej stronie taśmy – miała mocny makijaż i perłowy wisior. Dostała pewnie od męża na rocznicę ślubu. Wypinała dumnie pierś, jakby chciała powiedzieć: „Patrz, ja mam, a ty nie masz”. Nie żywiłem do tej kobiety żadnej urazy. Nie byłem jedną z tych uzalających się nad sobą ofiar, mówiących, że otoczenie powinno zareagować, wyczuć moje intencje. Że to ich wina, a nie moja! Nikt nie mógł wyczuć, jeśli nie miał szklanej kuli. Nikt też nie powinien się wpieprzać w czyjeś sprawy i decyzje. W końcu czyje było to cholerne życie: ich czy moje?

Po ukończeniu technikum poszedłem na studia z zarządzania czymś tam, ale szybko z nich zrezygnowałem, bo nie opuszczało mnie silne wrażenie, że zupełnie

nie pasuję do tej maszyny. Staralem się złapać jakąś robotę, żeby pomóc mamie w utrzymaniu mieszkania, ale ona i tak miała wszystko gdzieś. Nie zliczę, ilu facetów widziałem przez ostatni miesiąc w naszym domu. Pomijam Budzyńskiego z serwisu samochodowego, no bo on to już raczej stały bywalec. Sąsiedzi myślą, że matka jest prostytutką, ale to nieprawda, nigdy nie wzięła od nikogo złamanego grosza. Ona po prostu jest taka kochliwa. I tak po prawdzie to myślę, że każdy sposób na przerwanie życiowej rutyny jest dobry. Jej sposobami były alkohol i szybkie numerki z nowo poznanymi mężczyznami. I tyle. Wielkie mi halo.

Ja również ostatnio szukałem swojego sposobu, ale wtedy do głosu dochodziła ta moja słynna apatia. Próbowalem wkręcić się do jakiejś drużyny sportowej, ale wysiłek fizyczny sprawiał mi pewną formę bólu – trochę egzystencjalnego, trochę fizycznego. Trudno to wyjaśnić. Kiedyś z ojcem oglądałem mecze piłki nożnej i skoki narciarskie. Potrafił wzruszyć się, gdy Dudek obronił bramkę czy Małysz zdobył kolejny medal. Wówczas oczy szkliły mu się tak bardzo, że go nie poznawałem.

Następny pomysł na siebie – zrobić jakąś zawrotną karierę zawodową. Do tego przecież nie trzeba mieć studiów. Byłem dobry w cyferki i miałem analityczny umysł. Mógłbym być niezłym menedżerem. Bycie robotem mogłoby w tym pomóc. Wszystko w życiu kalkulowałem,

a każdą decyzję podejmowałem z białą kartką papieru w ręce, rozpisując wszystkie za i przeciw.

Tak, na tę okoliczność również stworzyłem taką rozpiskę. To właśnie z niej wynikało, że nie ma co dłużej ciągnąć na tym łożu padole, więc nie było wyjścia. Nigdy nie lubiłem oszukiwania, a chyba najbardziej oszukiwania samego siebie.

Pomysł z dochodowym biznesem szybko wypadł mi z głowy. Doszedłem do wniosku, że pomnażanie pieniędzy w nieskończoność, jako cel sam w sobie, jest niewiele warte. Może jako efekt uboczny robienia tego, co się kocha, to jak najbardziej, ale tak po prostu? Żeby robić?

Kolejna sprawa z cyklu tych moich życiowych, że nie było osoby, która mogłaby za mną zatęsknić. Ot tak. Byłem sam. Ale nie jak na tych reklamach: singiel dwudziestego pierwszego wieku – że sam nie oznacza samotny. U mnie właśnie to oznaczało.

Dokładnie to.

Zakończyłem etap życiowy zwany edukacją, więc w szkole też już wszyscy mieli mnie gdzieś, a iluzoryczne wrażenie, że ktoś się o ciebie troszczy, pryska wraz z momentem, w którym po raz ostatni przekraczasz próg placówki oświaty.

Co do matki... Ona nie zwracała na mnie uwagi, ale to nic, bo ja na nią też nie. Nigdy jej chyba tak prawdziwie nie kochałem. I z wzajemnością. Mijaliśmy się jedynie

w kuchni i w przedpokoju, jakbyśmy byli zupełnie obcymi sobie ludźmi. Więźniami tej samej rzeczywistości, którzy są skazani na siebie tylko dlatego, że przez długi czas żyli w tej samej przestrzeni. Nie miałem do niej żalu, do nikogo nie miałem. Denerwują mnie osoby, które wypominają krzywdy wszystkim wokoło, a potem odbierają sobie życie, skazując jeszcze innych na cierpienie. Pieprzone narcystyczne świnię.

Samochód podskoczył na kamieniu, aż zrobiło mi się niedobrze. Takie szutrowe drogi zawsze przywodziły mi na myśl stare amerykańskie kino. Takie, w którym dwóch facetów w kowbojskich kapeluszach, z rewolwerami przypiętymi do pasków, niespiesznie pokonuje kolejne mile – no bo przecież nie kilometry – wyschniętej na wiór drogi w celu schwytania jakiegoś rzezimieszka. To były dobre filmy. Wszystko w nich wydawało się takie czarno-białe, i to bynajmniej nie dlatego, że nie były nadawane w kolorze. Dobro i zło. Cel i zwycięstwo. Przyczyna i skutek. Coś jak *Nienawistna ósemka* od Tarantino, chociaż to już trochę przekombinowane.

Auto znów podskoczyło na kolejnej dziurze. W tym momencie mój Samsung Galaxy na siedzeniu pasażera zawibrował. Zdziwiłem się, że ktoś po nocy próbuje się ze mną skontaktować, ale to tylko aplikacja do nauki angielskiego dała o sobie znać. Napluła mi prosto w twarz, że nie osiągnąłem dziennego limitu. Od miesiąca nie

osiągnąłem. W obliczu śmierci jednak wszystko wydaje się takie błahe. Nawet dzienny limit słów w aplikacji do nauki języka angielskiego.

Spoglądałem jak zahipnotyzowany na zawieszkę w kształcie choinki o zapachu czegoś, co na pewno nie było zapachem choinki. Dyndała w lewo i prawo. I w lewo, i w prawo. Zupełnie jak człowiek na linie.

Powiadomienia z Instagrama były niezwykle irytujące. Z tą aplikacją chyba było najgorzej, bo raz za razem ją usuwałem i znów przywracałem do życia. „A może znasz tę osobę? A może znasz tamtą osobę?”. Nie znałem i nie chciałem poznać. Czasami leżałem i wgapiałem się w rolki bez namysłu. Dziewczyny tańczyły, udając, że to wcale nie chodzi o ciało i seks, tylko o taniec, jakby co najmniej uprawiały balet, cholerne *Jezioro łabędzie* Czajkowskiego, psy merdały radośnie ogonami, a ktoś zjeżdżał na nartach po jakimś alpejskim szklaku. Wszyscy się uśmiechali. Zawsze życzyłem im jak najlepiej. Serduszko, kochani. Leci serduszko.

Telefon dawał mi znać, ile zrobiłem kroków, i to akurat sobie ceniłem, chociaż po czasie doszedłem do wniosku, że co to za życie, w którym człowiek liczy każdy swój krok.

Mogłem nie podpinać maila, bo przez to cały czas przychodziły mi bzdurne wiadomości o jakichś pro-

mocjach i powiadomienia, że coś wygrałem. Pewnie, że wygrałem. Prawdziwy los na loterii.

Chciałem zrobić to spokojnie, odejść z klasą. Wybrałem linię jako klasyczną alternatywę dla tabletek czy brojni. Nie chciałem, by ktoś miał potem przez to problemy i musiał sprzątać kawałki mojego ciała lub ścierać moje płyny ustrojowe. Żyłem tak, by nie być dupkiem, i tak też chciałem umrzeć.

Nie podjąłem tej decyzji przez brak relacji z matką czy przez te cholerne powiadomienia z telefonu. Nie uskarżałem się na to, że zostałem jakoś skrzywdzony przez dzisiejszy świat, w którym żyjemy bez celu jak zombie. O ja cię... Nie byłem taką miękką pulpą, która potrafi tylko zatruwać życie innym. To była wyłącznie moja wina, to ze sobą miałem problem i to ze sobą chciałem skończyć. Bez świadków, bez wielkiego dramatu. Odejść pewnej nocy letniej.

Dlatego też nie napisałem żadnego listu. Po chłodnej analizie doszedłem do wniosku, że w zasadzie nikt po mnie nie zapłacze – co oznacza, że nikogo specjalnie nie skrzywdzę. Informacja znajdzie się w porannym wydaniu wiadomości lokalnych. I tyle. „Ale to był dobry chłopak, zawsze mówił dzień dobry” – powie sąsiadka jakiemuś domorosłemu dziennikarzowi miejscowej gazетки internetowej (czytaj portalu na fejsie o zasięgach podobnych do strony prowadzonej przez dwunastolatkę,

dotyczącej K-popu i chłopaków czy dziewczyn z Korei. *BLACKPINK IN YOUR AREA!*).

Dojechałem na miejsce. Zaparkowałem niedaleko, by mogli mnie szybko znaleźć. Nie chciałem, żeby jakiś dzieciak po kilku dniach natknął się na moje dyndające ciało o zapachu – niestety w tym przypadku – dyndającego ciała. Dziecięca psychika nie jest przygotowana na obcowanie z takim wiszącym kimś smaganym powiewami lekkiego wiatru. Zniesie ostrą rzeź i odcinanie głów w *The Walking Dead*, ale przecież nie to. To nie na niby.

Miejsce, które wypatrzyłem, to leśny zagajnik z widokiem na panoramę całego miasta. Och – jak romantycznie. Bielsko-Biała tętniła nocnym życiem. Nie romantyzowałem tego aktu w żaden sposób, żadna ze mnie postać literacka w stylu cierpiącego Wertera, po prostu chciałem zrobić to w dobrym miejscu. Uznałem, że to coś, czego mogę wymagać od życia. Że to absolutne minimum należy mi się jak psu buda.

Zatrzymałem pojazd. Cholerna kontrolka akumulatora nie chciała zgasnąć. A mogłem wymienić, zamknąć jeszcze ten jeden temat. Ale to już może po mojej śmierci. Niech się żywi martwią starym gruchotem, na którego zapracowałem, wożąc pizzę „U Wujaszka”. Cztery sery i hawajska. No i koniecznie na grubym cieście, żeby się najeść do syta.

Zgasilem silnik i wyciągnąłem linę z bagażnika. Sam-sunga zostawiłem w samochodzie, by żadne powiado-mienie, że Rafał wrzucił relację po dłuższej przerwie, nie zakłóciło mojego spokoju. Zaciągnąłem się głę-boko powietrzem, jakbym palił papierosa, i ruszyłem w drogę.

Miałem do przebycia jakieś sto metrów. Noc była nie-zwykle ciepła. Wybór sierpnia okazał się strzałem w dzie-siątkę. Chcieć to rzeczywiście móc. Głupio byłoby do tego wszystkiego marznąć na wietrze albo brodzić po kolana w śniegu. Tak więc na końcu okazało się nawet, że po-trafię zorganizować coś perfekcyjnie, jeśli tylko bardzo się postaram. Czułem z tego powodu lekką dumę.

Jednak po chwili pojawił się ucisk w żołądku. Przy-stanąłem na chwilę, ale uznałem, że to naturalna reakcja organizmu, który chce się obronić przed napastnikiem (choć w tym przypadku antagonistą byłem dla siebie ja sam, cóż za zwrot akcji!), i ruszyłem dalej. Przecież mimo wszystko wciąż byłem człowiekiem i instynkt przetrwa-nia wznosił alarm. Pompował mi adrenalinę do żył, jak-bym był ćpunem. Czułem, jak organizm zostaje posta-wiony w stan pełnej gotowości. Trudno się przeciwstawić naturze. Dzwony biją na alarm. Bim, bam, bom.

Naraz usłyszałem cichy jęk, co zupełnie zbiło mnie z tropu. Nie spodziewałem się tam zwierzyny, teren znaj-dował się za blisko miasta. Uznałem, że może to jakaś

ranna psina, która tu doczłapała. Byłby to problem, bo chciałem mieć porządek i absolutny spokój.

Im bliżej celu byłem, tym dźwięk zdawał się coraz wyraźniejszy. Przystanąłem i dopiero wtedy pojąłem, że to nie jęk, a...

Szloch.

– Kto to?! Kto idzie?! Nie zbliżaj się! – usłyszałem krzyk.

Był to wyraźnie głos kobiety. Serce zaczęło mi walić jeszcze szybciej, chociaż prawdopodobnie tylko z uwagi na wybuchową mieszankę mojego planu i napotkanej przeszkody.

– Nie podchodź, rozumiesz?! – krzyknęła ponownie.

Nie odzywałem się, bo i co miałbym powiedzieć? „Nie podejdę?”. Nawet jej nie widziałem, więc o chłodnej analizie nie było mowy. Zbliżyłem się nieznacznie, żeby zobaczyć, z kim mam do czynienia.

Stała tam, na środku polany, pod tą gałęzią. Akurat w tym cholernym miejscu, w którym się miałem powiesić! Skierowała coś na mnie, ale było za ciemno, żebym mógł określić, jaki to przedmiot. Po chwili dostrzegłem, że z ciemności wyłania się obraz lufy pistoletu.

– Nie podchodź, bo strzelę, rozumiesz?! – wycodziła przez zęby, jakby trzymała na szali coś, na czym mi zależy.

Chciała sprzedać mi kulkę w łeb. Albo sobie, bo co by tu robiła z klamką o tej godzinie?

Eureka – zbliżyła lufę do swojej skroni.

Moje ciało przebiegł dreszcz. Zakryłem dłonią twarz i przetarłem oczy, bo na tę ironię losu nie byłem przygotowany. Świat zgotował mi za wiele. Zaśmiałem się cicho, ale stałem za daleko, by mogła mnie usłyszeć.

Wówczas doszedł do mnie głos rozsądku. Spoważniałem, uzmysłowiwszy sobie, że cały mój plan diabli wezmą, jeśli ta pieprzona dziewczucha zapaskudzi polanę. Nie po to zмагаłem się z tym od tygodni, żeby teraz ona przyszła sobie w buciorach i zdeptała wszystkie moje plany. Nie dałbym rady zrobić tego po niej. W dodatku zrobiłaby się z tego jakaś afera. W mediach pokazaliby mnie jako mordercę. „Zabił dziewczynę, a potem sam odebrał sobie życie”. Fakty nikogo by nie interesowały. Wynocha, Amber Heard!

W gruncie rzeczy miałem to gdzieś, ale moja mama na to nie zasługiwała. Nikt sobie nie zasłużył na takie traktowanie, a fakt, że mamy dwie ręce i możemy zrobić tymi rękami, co tylko nam się żywnie podoba, nie obliguje nas do tego, by zachowywać się jak skończony duppek. Nie musimy być skończonymi dupkami. I za życia, i po śmierci.

Jak bardzo świat musiał sobie ze mnie kpić, że akurat teraz i że akurat ona.

– Ostatni raz mówię! Czy ty jesteś, kurwa, głuchy?! Zrobię to, nie rozumiesz?! Nie rozumiesz?! I tak to zrobię!

To było żałosne. Pieprzona histeryczka będzie mnie szantażować, że odbierze sobie życie. Zadufana w sobie idiotka. Wydaje jej się, że może wpływać na kogoś za pomocą tak niskich instynktów. Jest swoistym zobrażeniem tego, w jaki sposób nie chciałem odchodzić z tego świata. Do tego pistolet? Tutaj, w Polsce? Sprawi również problem właścicielowi tego egzemplarza broni, od którego go ukradła, lub komuś, kto jej go sprzedał. Czy ona w ogóle się zastanawiała nad tym, kto będzie zbierał kawałki jej mózgu po całej polanie? Czy obchodził ją ktokolwiek poza nią samą?

Wiedziałem jedno – jeśli to zrobi, ja będę miał piekło. Przeprowadziłem w głowie szybką analizę i doszedłem do wniosku, że czym prędzej muszę ją odwieść od tego pomysłu, zabrać do samochodu, odwieźć do domu, a potem tutaj wrócić. Patrząc na to, jak przygotowała swoje odejście, musiała być tutejsza. Nie pokusiłaby się o jakieś dalsze poszukiwania, jeśli tak partoliła każdą robotę.

Spojrzałem na zegarek. Za piętnaście minut północ. Pomyślałem, że powinienem się do godziny wyrobić i tutaj wrócić. Zwłaszcza jeśli mieszkała blisko.

– Stoję w miejscu – oznajmiłem, siląc się na spokojny ton.

Nawet zrobiło mi się jej żal. Dziwne, bo wszyscy (a zwłaszcza moja rodzicielka) mi powtarzali, że nie mam empatii. A ten kretyn lekarz, do którego zaprowadziła mnie mama, gdy byłem mały, stwierdził u mnie jakąś dziwną przypadłość, z której wynikało, że nie powinno mi być żal. Musiał przesympiać wykłady, a papierek dostać z uwagi na jakieś rodzinne konotacje, bo teraz naprawdę to czułem.

Dziewczyna była szczupła i dość niska. Miała chyba jasne włosy, ale w świetle księżyca trudno było stwierdzić to na pewno, i top, który lekko odsłaniał jej nieduże piersi. Spozstrzegłem buty na wysokim obcasie i szerokie do kostek spodnie.

Na chwilę odsunęła broń od skroni i ukryła twarz w dłoniach. Zaląła się rzewnymi łzami. Trudno było patrzeć na to, jak z ledwością bierze kolejne wdechy, jakby żal przytłaczał ją tak mocno, że mógłby ją nawet udusić.

– Nie chcę cię tutaj, rozumiesz? – zagroziła, kierując lufę w moją stronę. – Odejdź. Muszę zostać sama.

Gdyby palnęła mi w łeb, załatwiłaby za mnie temat. Nie musiałbym sprawdzać, czy wymięknę. Ale nie. Nie tego chciałem.

W tym momencie poczułem wspaniały zapach runa leśnego. Dla takich chwil warto było umierać.

Podniosłem ręce, bo uznałem, że tak trzeba. Wiedziałem, że muszę zacząć działać, bo inaczej będzie

po ptakach. Była zrozpaczona, więc nie myślała racjonalnie. Nie mogłem więc uderzyć do jej rozsądku argumentami pokoju typu, że zrani bliskich czy że odbierze sobie szansę na lepsze życie. Jej rozsądek w tym momencie przypominał jakieś galaretowate coś, więc trudno było liczyć na jego pomoc. Musiałem sprawić, że wyrzuci z siebie to, co ją gryzie, a potem przedstawić jej lepszą alternatywę tego, co planowała zrobić. Nawet jeśli ta alternatywa byłaby jeszcze gorsza niż kulka w łeb.

– Głupio robisz – stwierdziłem. – Myślisz, że ich tym zranisz?

– Wszystko się popieprzyło, rozumiesz? Wszystko się popieprzyło!

– Oni mają cię gdzieś – ciągnąłem tę narrację.

– Ja już nie mam siły, rozumiesz?! Wszystko przez ten cholerny rok, zawaliłam, matura, nie dopuścili mnie nawet, rok w plecy, a teraz wszyscy idą do przodu, a ja stoję w miejscu, rozumiesz?

– I co to zmieni? – Wskazałem na nią palcem. Starałem się być chłodny, ale nie pretensjonalny.

– A on teraz pieprzy ją na tej domówce, co ty myślisz, że ja nie wiem? Wielki mi, kurwa, facet. Nie był żadnym wsparciem, a teraz jeszcze pewnie posuwa ją na tej domówce. A mówił, że mnie tak bardzo kocha, jak mi ojciec zachorował na raka, ja pieprzę. Jak ja mogłam być tak głupia?!

Załkała i wciągnęła nosem smarki, co przyjąłem z lekkim obrzydzeniem. Ależ musiała być zdesperowana, opowiadając mi takie rzeczy. Nie była to moja sprawa, a poza tym nawet jej nie znałem. Dzięki niej urosłem w swoich oczach, bo ja przynajmniej swoimi problemami nie zawracałem innym głowy. Wiedziałem, że moje problemy to moja sprawa i nie mam prawa zrzucać tego na innych.

– Zdradził mnie, rozumiesz? Już od jakiegoś czasu wszędzie zabierał ze sobą telefon, nawet gdy wychodził z pokoju na dwie minuty. Wiem, że to zrobił. Dzisiaj, na tej domówce. Widziałam relację na Instagramie. Jego kolega wrzucił o dwudziestej drugiej, że wałę szoty. Ja pieprzę. Była tam ta Weronika. Piszcziała do kamery, rozumiesz? Wypiła szota i piszcziała. Jeszcze podskoczyła, żeby pokazać te swoje wielkie... Ja pieprzę, rozumiesz to? Jak można mieć przy tym tak wąską talię? Ludzie się tacy nie rodzą, rozumiesz?

Upadła na kolana i zawyła tak głośno, że zaboląła mnie głowa. Od zawsze byłem nadwrażliwy na wszystkie ponadnormatywne bodźce, dlatego unikałem wypadów do kina. Na *Avatarze* mało co nie zszedłem na zawał, gdy pułkownik Miles Quaritch siedział w tym swoim mechu i robił porządek z rdzennymi Amerykanami... znaczy się – mieszkańcami Pandory.

– Co za dupek, co za dupek... – powtarzała pod nosem.

Kiwała się, jakby miała chorobę sierocą.

– Czyli nie masz pewności, że to zrobił?

Zachowywała się, jakby nie usłyszała, więc powtórzyłem pytanie. Wzmógł się wiatr. Ciepły powiew otulił moją twarz i poczułem dreszcze na całym ciele. Tak, ten dzień był idealny.

– Łgał mi w żywe oczy, rozumiesz? Mówił mi, że ma ostatnio dużo pracy. Zbywał mnie, jakbym była jakimś balastem. Spotykał się z nią, bo niby mieli tyle wspólnej nauki na studia. Jak on mógł mi to zrobić?

– Czyli go nie nakryłaś?

– Chciałam! Miałam tam iść, na tę domówkę, ale...

– Ale?

– Ale boję się, rozumiesz?! Poza tym spójrz na mnie. Jak ja wyglądam...

Wstała i zbliżyła się do mnie, aż poczułem, jakby coś utknęło mi w gardle, bo nie mogłem przełknąć śliny. Zlustrowała mnie wzrokiem i przystawiła mi broń do czoła. Poczułem zimną lufę i równie chłodne spojrzenie na sobie. Teraz dostrzegłem jej zaczerwieniony nosek i bliznę po szczepionce na ramieniu. Zawsze byłem uważnym obserwatorem. Tusz rozmazany na powiekach sprawiał wrażenie, że wyglądała na jeszcze bardziej zdesperowaną, niż była w rzeczywistości.

Jednak zimna lufa pistoletu, którą poczułem na czołe, szybko sprowadziła mnie na ziemię.

– A może powinnam to skończyć? Tu i teraz?

– Uważam, że powinnaś tam pojechać.

Nie odwracała się do mnie plecami. To jasne. Byłem obcym w lesie, nie ufała mi. Oddalała się, mierząc mnie wzrokiem. Znów popadła w rozpacz, po czym zaśmiała się histerycznie i zaczęła wymachiwać bronią, jakby była zabawką kupioną na bazarze. Stresowała mnie tym, dlatego uważnie dobieierałem słowa. Za dużo się nauczyłem, że broń przypadkowo wystrzeliła. *Chapeau bas*, Strefo Gazy.

– I co im powiem? – spytała mnie. – Poza tym wyglądam jak śmierć.

Wskazała na brudne na kolanach spodnie i rozmazany makijaż. Wyglądała fatalnie, to jasne.

– Przecież nie jedziesz się tam bawić, tylko nakryć go na zdradzie – wyjaśniłem – Jedź tam i wparuj do pokoju, gdy będzie z tą Weroniką.

– I co? Mam ją zastrzelić?!

– Nie. – Skrzywiłem się. – Co? Ją? Po co ją? Po co zabierać światu Bogu ducha winną Weronikę, którą los obdarzył wielkimi, dorodnymi piersiami i wąską talią?

– W co ty, do cholery, pogrywasz?!

– Jedźmy tam i mu odstrzel.

– Ale co?

– No, ptaka – odparłem bez zawahania.